

Co zobaczył nasz reporter w indyjskim Radżastanie

W krainie świętych krów

Grzegorz Król

Radżastan reklamowany jest jako „typowe” Indie, gdzie wszystkimi zmysłami można poczuć świat Orientu. W folderach widać błękitne mury Dżodhpuru, słonie na uliczkach Udajpuru i wielbłądy na targach w Puszkarze. Ale „typowe” Indie z kolorowymi prospektami niewiele mają wspólnego.

Pociąg jadący ze świętego miasta Haridwar do położonego w centrum Radżastanu Jodhpuru spokojnie można uznać za typowy. Niespełna 1000-kilometrową trasę pokonuje w ciągu doby, dojeżdżając na miejsce z 4-godzinnym opóźnieniem.

Od klimatyzowanego wnętrza turystycznego autokaru różni go wiele. Chociażby 30-stopniowy upał, trzeszczący w zębach piasek wdzierający się do środka przez bez przerwy otwarte okna i chaotyczny koncert na bębnach i piszczałkach zorganizowany o szóstej nad ranem przez grupę bezdomnych hindusów.

Szalona jazda rikszą

Typowy jest też dworzec w Jodhpurze, gdzie na widok Europejczyków kierowcy motorowych riksów dostają prawdziwego szału. Nic dziwnego, skoro każdy z nich ma umowy z hotelami – za „głowę” klienta dostają do 30 procent ceny noclegu.

Po dobieciu targu i ustaleniu miejsca docelowego czeka szalona jazda kopcącym jak smok trójkołowcem. Warto mocno chwycić się metalowych rurek i porządnie zrelaksować, bowiem największy rollercoaster wesołego miasteczka to nic przy indyjskich riksach. W oparach spalin i przy ogłuszającym ryku klaksonów mkną przed siebie, lusterkami ocierając się o konkurencję, rozklekotane autobusy i kolorowe ciężarówki marki TATA oraz wszędobylskie krowy, które korzystając ze statusu świętych, nie zważając na nic, potrafią się rozłożyć na środku ruchliwej drogi.

Hotel „Discovery” leży wśród wąskich uliczek starego miasta. Nie ma go w przewodniku, ale riksarz twierdzi, że żaden z turystów nie zawiódł się jeszcze na usługach jego przyjaciela prowadzącego przybytek. Warto zajrzeć, a jak się nie spodoba, to pojedziemy dalej – w okolicy podobnych hotelików są dziesiątki.

Szybki rekonosans każe zostać na miejscu. Decyduje widok z położonej na dachu restauracji. Rozciąga się na wznoszący się na 120-metrowej skale potężny fort Meherangarh i pomalowana na charakterystyczny, niebieski kolor okolice. Poza tym w „Discovery” jest podejrzanie czysto. Zagadka została rozwiązana wieczorem – hotel prowadzony jest przez rodzinę muzułmańską.

„Białe szaty” i dżinijska ahimsa

Radżastan to największy stan w Indiach. Żyje tu prawie 60 mln osób, a jego powierzchnia przewyższa terytorium Polski. Większość pokrywają pustynie i półpustynie, krajobraz jest więc płaski i monotony. Jedyne urozmaicenie stanowi położone na południu pasmo wokół góry Abu wznoszącej się na 1220 m n.p.m.

Znajdujące się tu niewielkie miasteczko Mt. Abu to jedyny górski kurort w Radżastanie. Dla hindusów idealne miejsce na odpoczynek od panujących na równinach upałów



Wszędobylskie krowy korzystają ze statusu świętych i wylegają się na ruchliwych ulicach.

i popularne miejsce wybierane przez nowożeńców na miesiąc miodowy.

Goście z Zachodu zaglądają tu dość rzadko, zorganizowane wycieczki prawie wcale. Większość spotkań w miasteczku obcokrajowców to ubrani na biało członkowie mającej tu siedzibę sekty Brahma Kumaris. Uważają oni, że należy studiować zasady każdej religii, ponieważ wszystkie z nich mają na celu zbliżenie się do Boga.

Mt. Abu, ze względu na okoliczne świątynie, to także ośrodek pielgrzymkowy dżinistów, wg których jedynie poprzez całkowitą czystość duszy można osiągnąć wyzwolenie. Jedną z priorytetowych zasad jest ahimsa, czyli unikanie przemocy. Skrajni dżiniści mniszki noszą ze sobą miotłkę, którą zamiatają przed sobą drogę, by uniknąć rozdeptania jakiegokolwiek żywej istoty. Zasłaniają też twarz chusteczką, by przez przypadek nie wciągnąć do ust owada.

Święto trwa dzień w dzień

Wieczorem w Mt. Abu dudni coś, co można by nazwać indyjskim techno. Z każdego miejsca w okolicy widać świetlistą lunę, która prowadzi do centrum miasteczka, gdzie już trzecią noc z rzędu odbywa się huczna zabawa.

Na środku dużego placu uśmiecha się usypiana z kolorowego piasku twarz, dookoła niej rytmicznie poruszają się dwa taneczne kręgi. Wewnętrzny tworzą obwieszone złotem młodzieńcze dziewczyny w kolorowych sari. Zewnętrzny to młodzieńcy, którzy modę czerpią z kiczowatych filmów i teledysków. Istna mieszanka Zachodu i miejscowej fabryki snów przechrzczonej na Bollywood - siateczkowe koszulki powciskane w obcisłe dżinsy i ciemne włosy błyszczące od zbyt dużej ilości żelu.

Ktoś tłumaczy, że trwa właśnie ośmioldniowe święto na cześć jednego z tysięcy hinduskich bóstw. Dodaje, że nie ma się czemu dziwić, bo w Indiach obiektów czci jest tyle, że rok kalendarzowy to mało, by należało uczcić wszystkie wcielenia absolutu.

Święta nie ma w żadnym z przewodników, ale o tym że jest ważne, przekonujemy się dzień później w Udajpurze. Tu zabawa kręci się w każdym niemal zaułku miasta. Placyki, przy których wybudowano miniaturowe kapliczki, i świątynie odgradzane są płachtami

materiału. Płoną tysiące świeczek, na każdym placu gra muzyka i odbywają się tańce. Tym razem młodzież uzbrojona jest w drewniane kijki, którymi w damsko-męskich parach wybija się specjalne rytmy.

Święte miasto i zielone drinki

Ostatnią miejscowością na trasie podróży jest kilkunastotysięczny Puszkar, słynący z odbywającego się co roku w listopadzie targu bydła, na który zjeżdżają się hodowcy z całego Radżastanu i ościennych stanów.

Miejscowość jest jednym ze świętych dla hindusów miast, co nie przeszkadza tubylcom robić w konia oczarowanych spokojną atmosferą turystów. Najpierw podbiega jakiś malec i wciska do ręki pomarańczowe kwiaty. Wystarczy je wrzucić do leżącego w centrum miasteczka świętego jeziora, by spełniły się najskrytsze marzenia.

Nad świętymi wodami malca zastępują starsi, wyrobieni naciągacze. Wręczają do ręki lupiny kokosa, smarują czoła czerwoną mazią, każą powtarzać życzenia i pseudomodlitwy. Moment kulminacyjny to prośba o wolne datki. Sugerowana cena dla ludzi z Zachodu to jedyne 10 euro. Banknot o nominale 10 rupii kwitują głośnym, agresywnym potokiem słów. Raczej nie ma to nic wspólnego z pokojową modlitwą.

W świętym mieście nie sprzedaje się jarek, mięsa i wyrobów ze skóry. Oficjalnie nie ma też alkoholu, co zupełnie ignorują puby nastawione na białych travellersów. Dodatkowo, żeby umilić im życie, w menu całkiem legalnie proponują mleczne koktajle z domieszką marihuany. Tak sporą, że gęsty drink ma kolor ciemnej zieleni, a barman ostrzega, żeby na pierwszy raz wypić nie więcej niż pół szklanki.

A po koktajlu wreszcie robi się jak w kolorowym folderze. Zamiast smrodu odchodów intensywniej czuć woń kadzideł, brudne krowy wydają się bardziej święte, a sterty zalegających wszędzie śmieci zdają się być chwilową scenografią do marnego filmu. Orient naprawdę czuć wszystkimi zmysłami, tyle że o magicznych koktajlach nikt nie wspomina w reklamówkach biur podróży...



Dżodhpur to bajecznie kolorowe szaty hindusek...



...i charakterystyczne, błękitne elewacje starego miasta...



... które najlepiej podziwiać z fortu Meherangarh.